

Jan Grosfeld: Każda Eucharystia jest zmartwychwstaniem

Zmartwychwstanie to tajemnica, której moc objawia się w wymiarze duchowym, ale jest również głęboko zakorzeniona w ciele ludzkim – bo przecież, zgodnie z nauczaniem Kościoła, jesteśmy jednością psychofizyczną – mówi Jan Grosfeld w rozmowie z Karolem Grabiasem dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Ciała zmartwychwstanie”.

Karol Grabias (Teologia Polityczna): Zmartwychwstanie pojawia się już w Starym Testamencie, w Psalmie 16, w Księdze Hioba czy później, w Księgach Prorockich. Jak narodziła się biblijna idea zmartwychwstania?

Jan Grosfeld: Idea zmartwychwstania dotyka ogólnoludzkiego i bardzo głębokiego pytania, które dotyka tajemnicy życia: czy śmierć biologiczna jest kresem naszego istnienia, a jeśli nie to, co może nas czekać po śmierci. Na to intuicyjne pytanie każdego człowieka przychodzi odpowiedź przekazana Żydom w formie objawienia. Dokonywało się ono stopniowo, tak jak edukuje się i wychowuje dzieci. Na przykład w Księdze Machabejskiej, Machabeusz walcząc umiera z rozerwanym brzuchem. Przed śmiercią wyszarpuje swoje wnętrzności na zewnątrz, wołając „masz! Bóg i tak mi je odda!”. Zwraca się do tego, kto zadał mu śmierć, ale również do twórcy śmierci i upadku w ogóle – Szatana – z przekonaniem, że choć teraz umiera, to Pan przywróci mu życie. Czasami podzielamy opinię, że Stary, a lepiej mówiąc, Pierwszy

Testament jest „nieaktualny” względem Nowego. Tymczasem to przecież w nim zostało zawarte Przymierze z ludem żydowskim, tam tkwią głębokie, teologiczne przesłanki, z których zrodził się Jezus Chrystus i chrześcijaństwo. Nie zapominajmy też, że próbując wejrzeć głębiej w kwestię zmartwychwstania, to Nowy Testament wydaje się bardziej problematyczny. Choć zapowiedź nadejścia Chrystusa, czyli Mesjasza widzimy w wielu miejscach Pierwszego Testamentu, to wydarzenie paschalne Jezusa było skandalem dla Żydów.

Zmartwychwstanie Chrystusa było dla Żydów skandalem?

Tak. Po pierwsze dlatego, że Jezus ogłasza „sam siebie Bogiem”. I wówczas może jeszcze nie byłoby takiego problemu ze zmartwychwstaniem, gdyby nie to, że był On przecież jednocześnie człowiekiem. I jako człowieka znali Go Żydzi. Dla wychowanego w tradycji monoteistycznej Żyda człowiek, który twierdzi, że jest Bogiem, winny jest największej obrazy Boga i musi ponieść najwyższą karę. Co więcej, Bóg przecież nie może umrzeć, a Jezus przecież umarł. Sprawa się komplikuje. Jak dalece Chrystus był człowiekiem? Nowy Testament wskazuje, że całkowicie. To znaczy, że tajemnica śmierci dotyka go w wymiarze ludzkim. Chrystus nie dość, że cierpi ból fizyczny, to również zмага się ze śmiercią w wymiarze egzystencjalnym, jak każdy człowiek. Ma jednak, podobnie jak ów Machabeusz, głęboką pewność co do zmartwychwstania, gdy mówi: „Ojciec mój wskrzesi mnie w Dniu Ostatecznym”. Jego uczniowie nie rozumieją słów Jezusa, gdy prorokuje, że „Syn człowieczy w trzecim dniu zmartwychwstanie”, bo znają tylko żydowskie przekonanie o zmartwychwstaniu każdego w Dniu Ostatecznym. Gdy zastają pusty grób, również nie dowierzają. Co ciekawe, to kobiety pierwsze okrywają odsunięty kamień – co sugeruje, że kobiety mają lepszy od mężczyzn „dostęp” do *sanctum*.

Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa ma jednak wymiar szczególny. Nie jest przecież, po prostu, wskrzeszeniem pewnej osoby. Takie wierzenia były i są obecne w religiach wielu ludów jak choćby wśród czarowników Voodoo. To zmartwychwstanie zostało dokonane dla nas, nie tylko jako obietnica czegoś, co będzie kiedyś, „życia po śmierci biologicznej”, ale jako wydarzenie *teraźniejsze*, paschalne: jako przejście Jezusa Chrystusa ze śmierci do życia, które czyni je możliwym dla mnie *teraz*. Śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa, które celebруем co rok, nie są jedynie historyczną pamiątką, ale Paschą, która odbywa się teraz. Dla chrześcijanina – podobnie zresztą jak dla Żyda – Pascha ma fundamentalne znaczenie. Oznacza doświadczenie przechodzenia z niewoli do wolności, ze śmierci do życia. Oznacza to, że ja sam muszę zobaczyć, iż jestem w egzystencjalnej sytuacji śmierci. Istotą Paschy chrześcijańskiej, zakorzenionej w Passze żydowskiej, jest uczestnictwo w wydarzeniu wyjścia, ocalenia, wyzwolenia. A zatem to ja, wsparty o Zmartwychwstałego wychodzę z Egiptu, z niewoli grzechu, ze śmierci ontycznej, z mojego własnego niebytu.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.
Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Jak istotny był ten wymiar osobistego zaangażowania dla Żydów?

Odpowiem za pomocą żydowskiej opowieści, haggady... W czasie rodzinnych obchodów Paschy dzieli się dzieci na głupie i mądre. W pewnym momencie ojciec ma opowiadać historię wyjścia Żydów z niewoli egipskiej. Potem dzieci zadają pytania. Dziecko mądre pyta: „Jak to było, kiedy wychodziliśmy z ziemi egipskiej?” I ojciec odpowiada, mówiąc o tym, jak Bóg wyprowadził swój lud z Egiptu,

przeprowadził przez Morze Czerwone i darował mu piękną ziemię. Natomiast dziecko głupie pyta: Jak to było, kiedy wychodziliście z ziemi egipskiej? Nie używa formy „my”, lecz „wy”. Dlatego ojciec odpowiada mu: „Głupcze, gdybyś ty tam był, to nie wyszedłbyś z Egiptu. Byłbyś z tymi, którzy zostali w niewoli”. Jeśli nie utożsamiasz się ze wspólnotą, która doświadczyła wyprowadzenia z niewoli na wolność, wraz z wszystkimi trudami, zawiedzionymi i odnowionymi nadziejami, nie należysz do ludu. A zatem nigdy nie doświadczysz radości Paschy, radości zmartwychwstania.

To rozumowanie powraca w chrześcijaństwie. Pisze o tym św. Paweł „Ku wolności wyzwolił nas Chrystus” – Jezus Chrystus po to umarł i zmartwychwstał, abyśmy byli wolni. A od czego nas wyzwala? Bo przecież śmierć biologiczna i tak jest nieuchronna. Od nienawiści, od niewoli grzechu, uwalnia z niewoli złego ducha. W tym objawia się „kod genetyczny Boga”, który jest ludziom obcy: miłość do nieprzyjaciela. Ty i ja jesteśmy nieprzyjaciółmi Boga, gdy grzeszymy, bo grzech oznacza, że nasze ja mówi Bogu „NIE”. Wyzwolenie od przymusu, by mówić Bogu „nie”, by nie kochać Boga i człowieka, jest istotą chrześcijaństwa, cała reszta z tego dopiero wynika. Święty Augustyn pisze: „Kochaj i czyni co chcesz”. Jezus przywołuje słowa z Biblii hebrajskiej: „bogami jesteście”. Kiedy? Gdy kochamy nieprzyjaciela, konkretnego grzesznika, który neguje moje „ja”. Nie tylko człowieka szlachetnego, nie tego, który się poprawił, bo tak mogą czynić też inni, lecz tego, który jest moim nieprzyjacielem. Ta miłość, która jest darmowym darem Boga może i jemu dać powstanie z martwych. Jeśli jednak najpierw ja sam nie dostrzegam w sobie tego grzechu, to nie mogę zmartwychwstać. Im bardziej widzę siebie jako grzesznika w sposób konkretny, a nie ogólnikowy, to tym bardziej mogę pragnąć wyzwolenia, bo niewola nigdy nie daje szans na nadzieję i jej spełnienie.

Spójrzmy na przykład świętych: być świętym nie oznacza być superczystym, pozbawionym grzechu. Święty to człowiek, który jest świadomy własnej nędznej kondycji, że jest grzesznikiem i w niej właśnie doświadcza miłości od Boga. Jak mówiła o sobie św. Teresa z Ávili „jestem zero plus grzech”. Tutaj dotykami tej egzystencjalnej przestrzeni, która nazywa się „pokora”, w której dopiero możemy spotkać Boga. Jeśli jestem zerem plus grzech, to mój rachunek życiowy wychodzi na minus, co może lepiej widać w późniejszym wieku, chociaż niekoniecznie. Dopiero do osoby z taką świadomością, która zapragnie wyzwolenia z niemocy miłości, może przyjść Chrystus ze swoim zmartwychwstaniem. On bowiem otrzymał od Ojca moc wyprowadzania z niewoli. I dzięki Niemu dostajemy możliwość zaczepienia się w karawanie, która idzie ku Życiu.

Jak idea zmartwychwstania wpływa na chrześcijański obraz ludzkiego ciała?

W sposób fundamentalny. Zmartwychwstanie to tajemnica, której moc objawia się w wymiarze duchowym, ale jest również głęboko zakorzeniona w ciele ludzkim – bo przecież, zgodnie z nauczaniem Kościoła, jesteśmy jednością psychofizyczną. Obietnica zmartwychwstania oznacza przecież coś zupełnie niezwykłego. Jako chrześcijanie żyjemy tu, na ziemi, by smakować życia w pełni, dotykając i doświadczając obecności Boga. W tym wypadku judaizm i chrześcijaństwo są bardzo zgodne: mocno stoją na ziemi, obcy jest im wszelki angelizm. Nie jesteśmy gnostykami, którzy utożsamiają materię z upadkiem i złem. Wiemy, że nasza ludzka kondycja nieodłącznie związana jest z możliwością popełniania zła – im dłuższa i poważniejsza jest formacja chrześcijańska, tym bardziej jesteśmy

świadomi, jak głęboko jesteśmy grzesznikami. Ludzka skłonność do zła tkwi w samej głębi naszego „ja”. Chrześcijaństwo, podobnie jak judaizm nie odrzucają ani ciała, ani ludzkiej natury. To w nich właśnie zawiera się najgłębsze pragnienie pełni, szczęścia, czegoś o wiele więcej niż wskazuje nasza krótkowzroczność, a nawet ślepotą. Wręcz przeciwnie, dążenie do spełnienia się osoby jest wezwaniem, by zmartwychwstać w tym życiu. Napisałem kiedyś, że Jan Paweł II zmartwychwstawał wiele razy. Myślę, że to dotyczy każdego chrześcijanina: ciągle upadamy i wstajemy, tracimy nadzieję i ją odzyskujemy. Chrześcijanin to nie jest ktoś, kto ciągle stoi w miejscu, jako doskonały pomnik bez grzechu. Nawet święci z nas ulegają pokusom, przegrywają. Raz, drugi, piąty. To jednak nie ma znaczenia. Jak mówił jeden z ojców pustyni, nie jest ważne ile razy upadłeś, ale ile razy wstałeś. Im więcej razy podnosisz się, tym bardziej jesteś chrześcijaninem, bo tyle razy doświadczasz Bożego przebaczenia. Ile razy Bóg mi będzie przebaczał? Nieskończenie wiele.

Jak ta kondycja odnosi się do wyobrażenia o naszym życiu po zmartwychwstaniu?

Mądrość Kościoła mówi, by nie zgłębiać tego, jak będzie wyglądać nasze życie po śmierci. To sprawa drugorzędna, która nie zmienia mojego wnętrza. Istnieję teraz, dla chrześcijanina czas teraźniejszy powinien odgrywać fundamentalną rolę. Przeszłość minęła, a przyszłość nie jest w naszych rękach. Ciekawie obrazuje to historia Żydów zbierających mannę na pustyni. Jak mówi Pismo, mogli oni zgromadzić pokarm starczający jedynie na jeden dzień. Gdy brali go więcej, jedzenie gniło. Dlaczego? Aby jutro znów zapragnęli relacji z Bogiem i Jego obecności. Pascha trwa więc dla nas tu i teraz, codziennie na nowo. Dla przykładu księża, by podtrzymać ów paschalny wymiar przechodzenia ze śmierci

do życia, z jałowości do płodności, mają obowiązek codziennej modlitwy brewiarzem. Brewiarzem należy modlić się na głos, by słyszeć słowa, najlepiej wspólnie z innymi, tak, by słowo przychodziło do nas z zewnątrz i prowadziło mnie do nieustannego nawrócenia. Wiara bierze się ze słuchania, jak mówi Pismo. Przy okazji warto pamiętać, że ludzie przychodzą do Kościoła, by otrzymać życie przez Słowo. Tymczasem bywa, że mogą otrzymać śmierć od niektórych ludzi Kościoła. Dlaczego tak się dzieje? Bo księża są ludźmi i mimo święceń kapłańskich mogą nie mieć doświadczenia życia wiecznego, doświadczenia zmartwychwstania. Doświadczenia realnego, egzystencjalnego, które rodzi pewność, że Jezus Chrystus umarł i zmartwychwstał dla mnie; że jest obrazem miłości Boga Ojca do mnie.

Czy można wyobrazić sobie autentyczną wiarę bez tego doświadczenia?

Tajemnica śmierci i zmartwychwstania Chrystusa stanowi centrum chrześcijaństwa i bez niego trudno mówić o jakiegokolwiek wierze. Doświadczenie to dokonuje we mnie powolnej, stopniowej przemiany wewnętrznej, która rodzi się z odpowiedzi na zasadnicze dwa pytania: Kim jest Bóg? Kim jestem ja? Jeżeli Bóg kocha grzesznika, cała historia zaczyna się jawić jako dobra, pełna Jego miłości. Jeżeli Bóg grzesznika nie kocha, to nie mogę nic zrobić. Nigdy nie zasłużę na jego łaskę i miłość. I nie trzeba się zasługiwać, bo Jego miłość jest darmowa. Zdobyć jej nie można, lecz jedynie otrzymać w darze. Dlatego myślę, że świeccy, a czasami – co gorsza – osoby duchowne, często w ogóle nie rozumieją sensu swojej wiary. Dramatyczne jest, że nasza formacja religijna zwykle kończy się na Pierwszej Komunii, jest zwykle zewnętrzna, nie wiąże się z faktyczną wiarą, nie przekłada się na życie, nie jest drogą do uświadomienia sobie, że grzech jest w pewnym sensie

błogosławiony, że jest szczęśliwą winą. A to dlatego, że Bóg, kochając człowieka, przychodzi do niego i wyciąga go z grobu. Bez tej winy nie potrzebowalibyśmy go. Każda eucharystia jest przejściem Chrystusa ze śmierci do życia, jest zmartwychwstaniem, w którym chrześcijanin powinien rozpoznawać samego siebie. Dzięki niej mogę wchodzić z Jezusem w wymiar Paschy, w to przejście, którego On dla mnie dokonuje i pozwala mi kosztować wina zmartwychwstania, radości życia wiecznego. Istnieje tu jednak pewne niebezpieczeństwo, bardzo poważne.

Jakie niebezpieczeństwo? Czy zmartwychwstanie może być źle zinterpretowanie?

Zmartwychwstanie Chrystusa mogę potraktować instrumentalnie – idolatrycznie – uznając, że dokonało się tylko dla mojej korzyści i to pojmowanych według mojego, a nie Bożego rozumienia. Wykorzystanie tego daru dla realizacji własnych planów oznacza, że pozostajemy w ramach religijności pogańskiej, lękowej, która traktuje Boga jako bożka jednego z wielu, które mają służyć mnie: mojemu rozumowi, moim interesom, mojej woli. Jest to obrzydliwością w oczach Boga. W dodatku zatrzymuję ten dar tylko dla siebie jest. Tymczasem wolą Boga jest, by wszyscy ludzie, po krańce ziemi, mogli doświadczyć miłości Boga i Dobrej Nowiny. Nie przez zmuszanie do wiary siłą i wojny religijne, lecz przez świadectwo tych, którzy doświadczyli zmartwychwstania. Potrzeba nam świadków, tym bardziej w dzisiejszych czasach. Na ludzi nie działają już wezwania moralne, teologia, czy pouczenia. Tylko świadectwo, które idzie drogą otwartą przez Jezusa Chrystusa – zdolne dobrowolnie oddawać swoje życie, nawet na śmierć – może innych przyprowadzić do Boga. Stojąc wobec Piłata, Chrystus powiedział: „Ja sam oddaję moje życie, nikt mi go nie

zabiera”. Czy jesteśmy gotowi na to, żeby oddawać własne życie? Czy możemy oddawać nasz czas, pieniądze, naszą wolę, rozum? Nie jesteśmy to tego zdolni sami z siebie. Skażona natura zawsze będzie się broniła przed utratą życia. I dlatego, jeżeli nie mamy tego doświadczenia, że Bóg, Chrystus Zmartwychwstały żyje i daje tę moc rezygnacji z siebie, ukrzyżowania siebie, swojej woli na rzecz woli Ojca, nie będziemy zdolni do świadectwa. Znamieniem misji chrześcijańskiej, misji od Boga jedynego jest odrzucenie, a nie przyjęcie i akceptacja. Chrystus został odrzucony totalnie, aż po śmierć. W niej mieści się twierdzenie, że chrześcijaństwo jest czymś innym, że jest sukcesem ewangelizacyjnym i dla sukcesu misji trzeba używać środków bogatych. Ona jest przemianowaniem wina zmartwychwstania w wodę, życia wiecznego w marną doczesność.

Św. Paweł w czasie swojego przemówienia na Areopagu mówił Ateńczykom o nieznanym Bogu, o Bogu, który stworzył świat i człowieka. W momencie, gdy powiedział o zmartwychwstaniu, spotkał się ze śmiechem. Co sprawiło, że człowiek helleński nim wzgardził?

Moim zdaniem to jest znów kwestia idolatrii. Starożytność klasyczna, tak przecież piękna, stawia w centrum swoich zainteresowań człowieka. I faktycznie człowiek jest piękny, bo został stworzony przez pięknego Boga. Z pięknem ludzkiego ciała kojarzy się na przykład Olimpiada – zachwyty nad ludzkim ciałem i jego możliwościami. Jednakże postawienie rozumu człowieczego w miejsce Boga, co pojawia się u starożytnych, oznacza, że w pewnym sensie bogiem staje się człowiek. Bo to znaczy, że próbujemy zrozumieć Boga, czyli wtłoczyć go w kategorie naszego rozumu. A to jest niemożliwe. Jakże Mądrość nieskończona mogłaby zamknąć się w naszym skończonym umyśle.

Rzecz jasna, że człowiek wiele rzeczy może i to coraz więcej. Jednego nie może: miłować grzesznika miłością, która i tylko ona wejdzie z nami do życia wiecznego, bo sama jest Bogiem. Wszystko inne przeminie, pójdzie na spalenie. Życia wiecznego dać sobie nie możemy. Bóg jedyny Żydów i chrześcijan akceptujący odrzucenie Jego samego, który jest zawsze blisko człowieka słabego, cierpiącego, biednego, zmarginalizowanego, utożsamiający się z nim, jest nie do zaakceptowania przez niezwykle rozwiniętych kulturowo Greków. Jezus Chrystus zawsze jest wyśmiany i odrzucony, tym bardziej przez ludzi religijnych. A Grecy byli bardzo religijni.

Jest jeszcze jeden problem, mianowicie podstawowa różnica w pojmowaniu słowa. Na Zachodzie rozumiemy słowo jako pewną kategorię, pojęcie, doktrynę, teorię, definicję. Słowo ma swoje desygnaty. Wszystko jest uporządkowane, sklasyfikowane, ułożone w rozmaitych szufladkach, traktatach. Na Wschodzie, w mentalności wschodniej, słowo jest wydarzeniem. Bóg powiedział i stało się. Słowo jest stwórcze, jest działaniem. Dlatego Pismo mówi, że „Na początku było Słowo” oraz, że Jezus Chrystus jest Słowem. Dlatego każda proklamacja słowa daje życie albo śmierć, jak to widzimy wiele razy w naszej rzeczywistości społecznej. Moja mama zawsze mówiła: „słowo może zabić”. To prawda – słowo może zabić, ale Słowo może dać życie.

Co przejmuję rolę słowa w umysłowości zachodniej?

Tym, co jest twórcze w mentalności zachodniej, która nie jest naprawdę zewangelizowana, czyli pozostaje poza wymiarem hebrajskim, oderwana przymierza Boga z Żydami, jest rozum. Człowiek musi wszystko zrozumieć, musi wszystko pojąć. Znika dynamizm paschalny,

życie zamyka się w pewnych ramach rozumu, powiedziałbym w ramach śmiertelnych, skoro sami, jak mówi Jezus, nie możemy ani dnia dodać do długości naszego życia. Szczególnie chcemy zrozumieć cierpienie, które zawsze jest niemal ostateczną bronią w argumentacji przeciw Bogu.

Cierpienie niełatwo zrozumieć.

Petroniusz z *Quo Vadis*, człowiek niezwykle wykształcony, niezwykle subtelny, szlachetny, bogaty, niczego mu nie brakowało, łącznie z inteligencją i rozumem, popełnia samobójstwo. Jest człowiekiem głęboko zrozpaczonym, bez nadziei. On się nie oszukuje, wie, że jest w kręgu bez wyjścia, że czeka go śmierć. Jemu albo nikt nie przepowiadał Dobrej Nowiny o Bogu jedynym, o Jezusie Chrystusie, albo jego wiara we własny rozum była tak wielka, że blokowała go na łaskę wiary. Rozpoznajemy tu konstatację Sartre'a, że życie człowieka jest czymś koszmarnym, a relacja z drugim jest przestrzenią piekielną. Napisał: „Piekło to drugi”. Ta prawdziwa diagnoza nie daje jednak możliwości leczenia, uzdrowienia. Leczenie odbywa się tylko przez Boga, przez Chrystusa. Nie chodzi tu o jakieś ambulatorium, czy klinikę chirurgii estetycznej, o to, by się poprawić, lepiej żyć, być uczciwym czy religijnym człowiekiem. Nie, tu jest potrzebna poważna operacja na otwartym sercu. A w tym sercu są same skłonności do zła. „Dam wam nowe serce”, mówi Ezechiel w imieniu Boga, „i nowego ducha tchnę w wasze wnętrza”. To znamienne, że fragment ten jest co roku proklamowany liturgii Wielkiej Nocy. Oznacza to, że mamy serce, które tak naprawdę do niczego się nie nadaje. We mnie nie ma żadnego dobra. Świadom tego był choćby św. Paweł: „Wiem, co jest dobre i pragnę czynić dobro, akceptować historię, prześladowania, akceptować cierpienie, ale jak przychodzi co do czego, to z tych pragnień nic nie

wynika. Narzuca mi się zło. Nieszczęśliwy ja człowiek” pisze w Listach. Ale Paweł nie kończy na tym. Tu by skończył Petroniusz i każdy, kto odważy się popełnić samobójstwo. Trudno powiedzieć, że Hemingway był człowiekiem nieinteligentnym, głupim. Popełnił samobójstwo, być może nie widział innego rozwiązania w tej sytuacji, którą uważał za przerażającą. Człowiek nie jest stworzony do śmierci. Gdyby tak było, to bez oporu przyjmowalibyśmy śmierć biologiczną. A kto z nas ją akceptuje? Nikt, najwyżej ci, którzy mówią „mam dość wszystkiego, nie mogę tego znieść”. Natomiast chrześcijanin widzi we wszystkim miłość Boga, każdą sytuację traktuje jako przychodzącą od Boga. Za Hiobem mówi: „Dobro przyjęliśmy z ręki Boga, czemu zła przyjąć nie możemy?” oraz „Dotąd znałem Cię ze słyszenia, teraz poznałem Cie twarzą w twarz”.

Bo wie, że nie ma zmartwychwstania bez śmierci?

Tak, i to jest najistotniejsze. To znaczy, że trzeba zadać śmierć swojemu ego. Temu ego, które powoduje, że dążę do różnych rzeczy, myśląc, że tam będę żył, a w gruncie rzeczy spotykam tam śmierć. W rezultacie nie jestem szczęśliwy, zadowolony, usatysfakcjonowany, lecz rozczarowany, nieszczęśliwy. Ludzie, którzy uważają, że skuteczną alternatywą dla Boga jest pieniądz, bo za pieniądz można mieć wszystko, ostatecznie nigdy nie są zadowoleni. Wiele razy kończą samobójstwem. Czy są gorsi od innych? Oczywiście, że nie. Są tacy sami. Tylko że święty nie musi już za tym gonić. Bo święty wie, że Bóg jest. Widzę w Polsce napisy na płotach: „Bóg jest miłością”. Ale czy ktoś wie, co to znaczy? To znaczy, że Bóg kocha tego człowieka, który zabił twoją córkę. Jak to można przyjąć? To jest absurd. To jest do przyjęcia

dopiero, kiedy jestem na pewnej drodze do wiary dojrzałej, gdy poznałem swą własną rzeczywistość grzechu i, co najważniejsze, że Bóg mi je przebacza.

Czy współczesny człowiek, szukający wyzwolenia od śmierci w transhumanizmie, może pojąć ideę zmartwychwstania?

W tych próbach szukania sposobów na życie wieczne jest przejaw niesłychanego smutku i rozpacz. Próbujemy robić rzeczy, które najprawdopodobniej nie przyniosą skutku, a nawet jeśli, to nie rozwiązują istoty mojego cierpienia. Jeśli ktoś nie cierpi, jeżeli twierdzi, że nie ma nieprzyjaciół, to znaczy, że jest wyalienowany z rzeczywistości, że musi się wydarzyć coś bardzo poważnego, musi mu „spaść cegła na głowę”, żeby przejrzał, by widzieć, że życie jest cierpieniem. Zwłaszcza relacje z ludźmi. Jednym ze sposobów na alienację z obecnej, jakże doskwierającej rzeczywistości jest ucieczka w przyszłość, także w próby przedłużania życia ludzkiego ponad to, które jest mu dane. Jednakże, gdy cierpię, to nie cierpię tylko dlatego, że umrę biologicznie. Ale cierpię dlatego, że umieram w codzienności. Przez spotkanie z innością drugiego człowieka, choćby najbliższego. Tym bardziej najbliższego.

Naszym głównym ograniczeniem jest to, że nie możemy być w jedności z drugim człowiekiem. To jest to, co czyni nas nieszczęśliwymi. My jesteśmy do tego powołani, do tego stworzeni, żeby kochać, akceptować drugiego, żeby było mu i mnie dobrze w tej trudnej przecież relacji. Intuicja żydowska, która kazała napisać jedenaście rozdziałów księgi o stworzeniu człowieka, w wyniku własnych doświadczeń religijnych

Żydów, jest czymś niezwykłym. Wskazuje na cierpienie Adama i cierpienie Ewy, nie tylko w relacji męsko – damskiej, ale w relacjach na innych poziomach. Brak jedności w relacji „ja-ty”.

W sensie fundamentalnego rozdzielenie „Ja” od „Ty”?

Tak. I zawsze owo „ja” będzie dominowało. U człowieka świętego dominuje „ty”. Moje „ja” jest przekreślone, to jest znak krzyża. Chrystus przekreślił siebie. Przekreślił siebie, stał się ostatnim, najgorszym. Oddał życie za wszystkich, którzy są najgorsi, za absolutnie wszystkich. Czy zmartwychwstał po to tylko by powiedzieć: „widzicie, coście mi zrobili?” albo: „teraz mój Ojciec mnie pomści”. Nic z tych rzeczy. On nie jest *capo di tutti capi*, lecz, jak wierzymy, jest samym Bogiem, który się objawia w taki właśnie, bardzo trudny, niemal niemożliwy do przyjęcia sposób. Trudno jest Bogu dotrzeć do człowieka ze swoją miłością. Bóg Ojciec musiał oddać swojego Syna, a ten oddać swoje życie. Wolałbym tego nie robić, mówi Jezus. Lecz lepiej będzie, jeżeli wola mojego Ojca się spełni. Dlatego, że jesteście ważniejsi dla mnie niż ja sam, niż moje życie. A ponieważ Ja zmartwychwstanę i pošlę wam Ducha Świętego, to dzięki temu wy otrzymacie Życie. Takie jest objawienie, które do nas przychodzi.

Rozmawiał Karol Grabias